



Agata Mańczyk, „Duża kieszeń na kłopoty”
Fragment

Rozdział 1 Acetonowa lalunia

Deszcz bezczelnie bębnił o parapety już dwunasty dzień. Miejscowi mruclili niezadowoleni, że kiedy w lipcu pada, jesień będzie blada. Cokolwiek miało to znaczyć, nie wróżyło nic dobrego. Turyści skracali urlopy i wyjeżdżali, twierdząc, że wolą marznąć we własnym domu. Jarosławiec* pustoszał z każdym dniem, a sprzedawcy pamiątek, waty cukrowej, lodów i parasoli przeciwsłonecznych mieli coraz bardziej ponure miny.

Smażalnia jak zwykle była prawie pusta. Za barem cicho grało radio, a pod sufitem w starym telewizorze Włodzimierz Szaranowicz komentował wyjątkowo nudne spotkanie Kuba-Azerbejdżan. Kilka niedbale ustawionych stolików nakrytych ceratowymi obrusami, gdzieniegdzie przewrócona pieprzniczka i rozsypana sól na blacie, tworząca fantazyjny wzór. Podłoga usłana serwetkami, które pracujący nie wiadomo po co wiatrak co chwila podrywał do dziwnego tańca w powietrzu. Nie pachniało rybami, frytkami ani nawet coca-colą. Pan Waldek, sympatyczny czterdziestopięcioletni mężczyzna, drzemał za barem w nadziei, że kiedy się obudzi, zza chmur wyjdzie słońce, a do jego smażalni ściągną tłumy wygłodniałych turystów.

Greta malowała sobie paznokcie na czerwono. Siedziała wygodnie przy stoliku w kącie pod wiszącą na ścianie paprotką i lekko drżącą dłonią nierówno pokrywała każdy paznokieć mazią, którą potwornie czuć było acetonem. Nie wyglądało jednak na to, żeby komukolwiek z obecnych to przeszkadzało. Greta co chwila dmuchała w ciemną, prostą jak drut grzywkę, bo tak robiły te wszystkie dziewczyny w szkole w najmodniejszych ciuchach i precyzyjnych makijażach. Tylko że one miały zawsze długie, błyszczące loki, brzoskwiową cerę i idealnie pełne usta. Greta rzadko patrzyła w lustro, ale i tak wiedziała, że z jej szorstkimi jak papier ścierny włosami i trupio bladą cerą nie może się z nimi równać. Do diabła jednak, w końcu jest na wakacjach! Tu nikt jej nie zna i przez te upiorne dwa tygodnie z rodzicami, pilnującymi tylko tego, żeby łykała zwiększoną dawkę witamin i jodu, może być, kim chce! Właśnie po to tu przyjechała.

Zamierzała chodzić na dyskoteki, siedzieć do północy na plaży w jakimś bardzo nieodpowiednim towarzystwie i robić to wszystko, czego takie chorowite, wymizerowane i ciągle osłabione istoty jak ona w żadnym wypadku i pod żadnym pozorem robić nie powinny. Taki mniej więcej miała plan. Chociaż raz trochę się zabawić i zobaczyć, jak żyją normalni ludzie w jej wieku. A rodzice? Było tylko jedno

wyjście. Kłamać. Łgać do upadłego, a potem zacząć od początku. Z tym akurat Greta radziła sobie naprawdę dobrze. Nigdy nie brakowało jej pomysłów. Opracowała drobiazgowy plan, ale niestety nie przewidziała w nim... deszczu. Przekłęta pogoda wszystko skomplikowała. Rodzice stali się bardziej czujni i przewrażliwieni. Greta musiała porządnie kombinować, żeby ich zmylić. A poza tym, jaki sens ma siedzenie na plaży w taką ulewę? Pech, przeklęty, złośliwy i ponury jak całe jej życie. Z obmyślonego szaleństwa zostało jej tylko malowanie paznokci. Siedziała po turecku na drewnianym krześle, chociaż mama na pewno by jej na to nie pozwoliła, bo ma za słabe kości. „Mogłabyś spaść, złamać nogę albo kręgosłup i spędzić resztę życia na wózku inwalidzkim. Czy to nie zbyt wygórowana cena za wątpliwą przyjemność takiego dziwaczego siedzenia, moja droga?”. Greta uśmiechnęła się zjadliwie i odepchnęła od stolika, bujając się przez chwilę na tylnych nogach krzesła. Podziwiała cztery wyjątkowo nieudolnie pomalowane paznokcie. Wspaniała czerwień. Mama będzie zdruzgotana.

Gustaw z rozdrażnieniem wytarł okulary o sweter i potargał sobie i tak już mocno splątane włosy. Po raz setny w ciągu ostatnich pięciu minut rozejrzał się po sali, z kwaśną miną wciągnął w nozdrza zapach lakieru i poszukał winowajcy. Kiedy jednak odnalazł go w przeciwległym końcu lokalu w postaci ładnej, uśmiechniętej brunetki, tylko zmarszczył brwi, westchnął wymownie i zerknął na jej ręce, próbując określić, ile jeszcze zostało jej paznokci do pomalowania. Dziewczyny! Nie miał pojęcia, po co takie dziwadła istnieją na świecie. Potrafią zmarnować połowę życia na papranie się w tym świństwie, wmawiając jeszcze sobie i wszystkim wokół, że robią to dla urody. Ta na przykład na pewno nie przeczytała ani jednej książki. Poznał od razu po bezmyślnym uśmiechu, z jakim gapiła się na buteleczkę tego czerwonego paskudztwa.

Gustaw siedział w kącie przy drzwiach wejściowych i z prawdziwą przyjemnością czytał *Przygody fryzjera damskiego* Eduarda Mendozy. Głośno chrupał paluszki i co chwilę wybuchał głośnym śmiechem. Czego więcej potrzeba człowiekowi do szczęścia? Dobra książka, słone paluszki i święty spokój. Właśnie po to tu przyjechał. Szczerze mówiąc, miał gdzieś plaże, szumiące morze i kiwające się na horyzoncie statki. Nie ruszała go też możliwość wakacyjnego romansu z jakąś wytapirowaną warszawianką. Szukał tu tego, czego tak bardzo brakowało mu w domu. Spokoju. Dla Gutka był on najcenniejszy na świecie. Dlatego co roku jeden miesiąc wakacji spędzał u babci w Jarosławcu. Uciekał od ciągle kłócących się rodziców, od wyrzutów o zmarnowanym życiu, niespełnionych marzeniach i braku pieniędzy na nowe meble. Nie żeby się skarżył. Do osiemnastki jakoś wytrzyma, a potem się wyprowadzi. Na razie potrzebował po prostu czasami odpocząć od nieszczęśliwych, znudzonych sobą rodziców i od domu, w którym wszyscy kiszą się we własnym, mocno sfermentowanym sosie. I właśnie odpoczywał. A to, że akurat padało, nie miało dla niego najmniejszego znaczenia.

Pola siedziała tyłem do sali, zwrócona w stronę okna z widokiem na ulicę, po której od kilkunastu dni nikt już nie spacerował. Na stole przed nią leżała duża biała kartka i mnóstwo ołówków. Mało rzeczy na świecie sprawiało jej większą frajdę niż rysowanie. Związała niedbale grube, jasne włosy w węzeł na karku, cierpliwie chowając za uszy wymykające się kosmyki. Co chwila przyglądała się pustej ulicy, jakby próbowała tam wypatrzeć coś, czego nie dojrzy przeciętny obserwator. Wybierała odpowiedni ołówek i szybkimi ruchami kreśliła na kartce cieńsze i grubsze linie. Zanim jednak zdążyła narysować zaplanowany fragment, brunet siedzący koło drzwi po raz kolejny wybuchał śmiechem, wytrącając ją z rytmu. Odwracała się zirytowana w jego stronę, a kilka nowych złocistych kosmyków uciekało spod gumki. Posyłała mu swoje słynne

spojrzenie, które mrozi szpik w kościach, ale chłopak nawet nie drgnął. Przewracał tylko stronę i z wypiekami na twarzy czytał dalej z lekkim uśmiechem.

Wracła ze złością do rysunku, próbując ponownie skupić się na przerwanej pracy. Trudno, nie może przecież oczekiwać, że na świecie będą żyli sami artyści. Obok leżała prawie pusta paczka gumy owocowej. Dziewczyna co jakiś czas wyjmowała nowy listek, przymykała oczy przy pierwszym przegryzaniu, żuła przez chwilę, głośno strzelając balonami, a kiedy guma traciła smak, po prostu wyrzucała ją do popielniczki na stoliku obok i sięgała po następną. To ją uspokajało i pozwalało się skupić.

Dziadek zawsze powtarzał, że w spodniach najważniejsze są duże kieszenie, bo można w nich upchnąć wszystkie kłopoty. Przy każdym praniu zawsze tracą trochę koloru, aż w końcu wystrzępią się i z czystym sumieniem będzie je można wyrzucić do kosza. Kłopoty, nie spodnie. Pola nie miała specjalnie skomplikowanego życia. To znaczy, miała młodszego brata Marka, którego mama nazwała tak na cześć Hłaski. Miała tatę, który pracował od rana do nocy przez siedem dni w tygodniu i nigdy nie znajdował czasu, żeby z nią pogadać. I miała dziadka, który był na emeryturze i którego przede wszystkim zajmowały niekończące się rozmowy z wnukami. Mieszkała z tymi trzema facetami, z których, zaczynając od najmłodszego, jeden strasznie ją wkurzał, drugi był jej prawie zupełnie obcy, a bez trzeciego jej życie straciłoby sens. Oczywiście gdzieś na horyzoncie majaczył jeszcze ten czwarty. Piękny jak Archanioł Gabriel i jak każdy anioł niezwracający uwagi na zwykłe śmiertelniczki. W każdym razie jej życie nie wydawało się złe. Dziadek gotował, ona sprzątała, Marek bałaganił, a ojciec pracował. Podział obowiązków został określony jasno, więc radzili sobie bez wielkich awantur. No tak... Była jeszcze jedna sprawa. Pola nie miała mamy. Choć od jej śmierci minęło już trochę czasu – dokładnie dwa lata, trzy miesiące i dwadzieścia trzy dni – z każdym miesiącem Pola coraz bardziej za nią tęskniła i czuła, że jej potrzebuje. Ten problem porządnie wystrzępił się w kieszeniach dziadkowych spodni, a mimo to Pola wiedziała, że jeszcze długo nie zdoła wyrzucić go na śmietnik i zapomnieć. Pomagało jej rysowanie. Śnieżnobiały karton, zapach grafitu i chwila, kiedy delikatnie robiła pierwszą kreskę miękkim ołówkiem B6. Wtedy zapominała o wszystkim. Nawet o tym, że ma sześć kilo nadwagi i żadne wałki nie działają na jej upiornie wręcz proste włosy. Tak. Rysowanie i dziadek to był jej sposób na całe zło tego świata. Nawet na deszczowe wakacje nad zimnym morzem.

Nikodem zajmował czwarty kąt sali. Wysoki rudzielec z krótko ostrzyżoną głową i milionem piegów na obu policzkach. Siedział z łokciami opartymi na stole, z pasją naciskając niezmiennie te same trzy guziki w telefonie komórkowym. Za każdym razem, kiedy blondynce przyszło do głowy strzelić owocowym, gigantycznym balonem, on tracił jedno życie. Gra to precyzja, stres i wielkie napięcie, ale jeśli jakaś damulka co chwila przyprawia człowieka o stan przedzawałowy, strzelając głośniejsz niż kałasznikow, nic dziwnego, że ta cholerna, złośliwa maszyna co rusz oznajmiała: „Game over”. Wtedy chłopak ze złością chował komórkę do kieszeni, patrzył przez moment zmrużonymi oczami na plecy blondynki, pewny, że nawet jeśli byłaby ładna jak Angelina Jolie, bez wahania udusiłby ją tymi jej długimi i błyszczącymi jak wąż włosami. Po chwili jednak oddychał głęboko i z nowym błyskiem w oku sięgał po telefon, mrucząc pod nosem coś niezrozumiałego i co jakiś czas zerkając na dziewczynę, która powodowała kolejne eksplozje.

Czy nie miał ciekawszych zajęć? Może powinien rozejrzeć się za pożyteczną pracą, do czego bezskutecznie namawiała go mama. Mógłby zaoszczędzić pieniądze i wyjechać stąd na zawsze. Uwolniłby się w końcu od ciągle pijanego ojca, który nigdy nie był z

niego zadowolony. Mógłby znaleźć robotę na przykład w Warszawie, wynająć pokój i umawiać się na randki z pięknymi miastowymi dziewczynami. Mógłby zarobić kupę kasy, bo w stolicy podobno dobrze płacą, i kupić sobie motor. Prawo jazdy też by zrobił, czemu nie? Może nawet skończyłyby szkołę, żeby mieć papier, bo mówią, że bez tego w dużym mieście jesteś, bracie, nikim. To wszystko bzdury! Nigdy nie wyjedzie z tego grajdołu. Nie ma nawet pieniędzy na bilet do Słupska. W szkole przepchnęli go do następnej klasy tylko ze względu na matkę, która była tam sprzątaczką. Dziewczyna, praca i motor w Warszawie! Marzenia lepiej od gorzały robią człowiekowi kisiel z mózgu. Prawda jest taka, że będzie siedział w tej nadmorskiej pipidowie do śmierci i skończy jak ojciec... Po co się szarpać, próbować i za każdym razem dostawać po łbie? A bo mu tu źle? Sucho, ciepło i nabił już cztery tysiące punktów.

Deszcz nasilił się i Pola zamarła na moment z ołówkiem w ręku, zastanawiając się, jak narysować taką ulewę. Po chwili wpadła na jakiś pomysł, bo strzeliła głośno różowym balonem i pochyliła się nad prawie skończonym rysunkiem.

Wszystko potoczyło się swoim torem, jak to miało miejsce od dwóch godzin. Nikodem, który podskoczył od wystrzału, spiorunował Polę wzrokiem bazyliuszka, po czym westchnął głośno i usłyszał kolejne „Game over”. Greta zakręciła buteleczkę z lakierem, mocno nią potrząsnęła, otworzyła i z lekko wysuniętym językiem rozpoczęła malowanie prawej ręki. Gustaw spojrzął na nią zde gustowany znad okularów, po czym pokręcił z dezaprobatą głową i wrócił do lektury. Po chwili roześmiał się głośno i blondynka znowu przerwała rysowanie, odwracając się ze złością, czego on oczywiście nie zauważył. W tej przytulnej atmosferze cała czwórka miała dużą szansę doczekać kolacji, gdyby nagle drzwi smaźalni nie otworzyły się ze skrzypnięciem.

Było ich dwóch. Obaj w całkowicie przemoczonych dresach i z mokrymi od deszczu głowami, na których włosy miały długość maksymalnie dwu milimetrów. Różniło ich tylko to, że jeden był ładnie opalony i nieco grubszy, co niewątpliwie wskazywało na wakacje nad Morzem Śródziemnym, a drugi, najwidoczniej skazany na Bałtyk, był blady jak obrus świąteczny i do tego jeszcze chudy jak patyk. Zaszurali głośno krzesłami przy środkowym rzędzie stolików, zajmując ten najbliższy bar. Pan Waldek ocknął się i automatycznie nalał piwo do dwóch plastikowych kubków, a następnie leniwym krokiem poszedł na zaplecze, żeby dokończyć drzemkę. Chudzielec złapał kufle i z przyjemnością od razu opróżnił swój do połowy. Grubas postawił napój na stole i z niedowierzaniem kręcił głową.

– Co za pacan! Skończony głupek, dureń i jełop! – Uderzył pięścią w stół. – No, powiedz mi, Wentyl, jak można zgubić walizkę pełną kasy! Ja wszystko rozumiem, facet spanikował, gliny deptały mu po piętach. Do tego jeszcze gonili go te wyszkolone policyjne wilczury. Było ciemno i mokro. Właśnie skasował mojego merca i swoją prawą rękę. To cholernie trudna sytuacja, dlatego jestem wyrozumiały, ale jak, do stu diabłów, można zgubić taką walizkę?!

– Mambo... – Chudzielec zwany Wentylem poklepał go po ramieniu. – Daj spokój. Ostatecznie to twój brat.

– No widzisz. I to jest w tym wszystkim najgorsze. – Grubas pokiwał głową całkowicie zrezygnowany. – Jak taki inteligentny i obrotny facet jak ja może mieć za brata takiego kretyna?

Pola przerwała rysowanie i ostrożnie podniosła głowę, wyraźnie zainteresowana przebiegiem rozmowy.

- Słuchaj, stary, jeszcze nic straconego. Twój brat rzeczywiście spaprał sprawę, ale to się da łatwo naprawić. Walizka nie igła, łatwo będzie ją znaleźć. - Wentyl poklepał kolegę po pulchnym ramieniu.

- Tego właśnie się obawiam - mruknął Mambo i odwrócił się w stronę baru.

- Waldek, podkręć radio, bo nic nie słyhać.

Właściciel nie pojawił się jednak za kontuarem, więc Mambo podniósł się ciężko, sapnął i podszedł do stojącej na zakurzonej blacie wieży. Zajrzał na zaplecze i pokręcił z niedowierzaniem głową na widok chrapiącego Waldka.

- A ty co? Ciekawy jesteś prognozy pogody, czy jak?! - Zarechotał chudzielec, ale wściekłe spojrzenie kumpla szybko zgasiło głupkowaty uśmiech.

Mambo nacisnął jakiś guzik i przekręcił gałkę radioodbiornika. Po smażalni niósł się zamszowy głos spikera:

- Uwaga, proszę państwa, nadajemy komunikat specjalny - zaczął poważnie. - Wczoraj około południa w Jarosławcu skradziono z samochodu marki Mercedes czarną, skórzaną walizkę, w której znajdowały się niebezpieczne dla zdrowia i życia środki ochrony roślin, a także próbki skażonej wody pochodzącej z terenów zakażonych ptasią grypą. Znalazcę czarnej walizki przestrzega się przed jej otwieraniem i przechowywaniem w nieodpowiednich warunkach. Próbki powinny jak najszybciej znaleźć się w laboratorium, bo mogą emitować do środowiska trujące substancje. Walizkę należy niezwłocznie oddać właścicielowi, który czeka pod numerem telefonu 602 454 78 70, lub na posterunek policji w Jarosławcu.

Mambo pokiwał głową i ściszył radio, z którego popłynęła teraz smętna muzyka. Wrócił do stolika, pociągnął łyk piwa i kiwał powoli głową, jakby powtarzał w myślach każde wypowiedziane przez spikera słowo.

- Co za frajer wozi takie świństwa na tylnym siedzeniu?! - Zaśmiał się znowu Wentyl i natychmiast zrozumiał, że dał plamę.

Grubas czekał cierpliwie, aż odpowiednie kabelki połączą się w głowie kolegi, przynosząc oczekiwaną reakcję.

- Sprytne - mruknął w końcu chudzielec, z uznaniem kiwając głową. - Cholernie przebiegły z ciebie sukinkot. Kazałeś ją oddać na nasz komisariat.

- Liczę, że będziesz wtedy na służbie.

Zaśmiali się i stuknęli kubkami, aż piwo prysnęło na stolik.

Greta przestała malować paznokcie i ukradkiem obserwowała mężczyzn, nie tracąc ani słowa z ich coraz ciekawszej rozmowy.

- To ile tam tego jest? - zapytał chudzielec. - Pytam z czystej ciekawości.

Mambo pokiwał ostrzegawczo pulchnym palcem.

- Ciekawość to pierwszy stopień do... sukcesu! - Roześmiał się głośno i uderzył pięścią w stół. Pociągnął potężny łyk piwa. Rozejrzał się po sali. Chudzielec zrobił to samo i wzruszył ramionami.

- Chyba nie boisz się tych dzieciaków - rzucił rozbawiony.

- Boję się każdego, kto tak jak ty ma mózg wielkości pestki słonecznika i chce w knajpie pełnej ludzi gadać o pieniądzach.

Patrzyli na siebie przez chwilę w napięciu. W końcu Mambo wziął ze stołu solniczkę i wysypał jej zawartość na stół. Zmierzył uważnie wzrokiem siedzące przy stołach dzieciaki, a kiedy żadne z nich nawet nie drgnęło pod jego ciężkim, podejrzliwym spojrzeniem, nachylił się nad stołem i przebiegle się uśmiechając, napisał coś małym palcem na białej plamie rozsypanej soli.

- Pięćset tysięcy! - krzyknął Wentyl, łapiąc się za głowę, a Mambo z wściekłością uderzył pięścią w stół, aż serwetki wyskoczyły z pojemnika, zatańczyły zgrabnie w powietrzu i z gracją upadły.

- Zamknij jadaczkę, kretynie! - wyszczał.

- Daj spokój, Mambo. - Zaśmiał się Wentyl. - Tu nikogo nie ma. Waldek chrapie. Kto cię tu podsłucha? Te dzieciaki? Przecież one nie potrafią zliczyć do trzech.

Gutek z trzaskiem zamknął książkę, tępo wpatrując się w pomarańczową okładkę pełną tłustych plam.

- Jak tak się boisz, to po co umawiałeś się ze mną w knajpie? Mogliśmy się spotkać u ciebie w domu.

- W domu? - Mambo uśmiechnął się ironicznie. - Żeby ojciec zrobił z nas kilimy do salonu?

- Kili... co?

- Nieważne. Czasami zapominam, że jesteś tylko policjantem. - Mambo machnął zrezygnowany ręką. - W domu to ja nie mogę gadać nawet o pogodzie. Gliny siedzą nam na karku. Raz w tygodniu robią kocioł. Diabli wiedzą, czego szukają. Pewnie dostali cynk od chłopaków z Gdańska i węszą. I w końcu coś wywęszą. Muszę uważać. U mnie się nie da nawet kichnąć, żeby tego nie usłyszała cała nadmorska policja. U ciebie na komisariacie wolę się nie pokazywać. A Waldek to swój człowiek. Przecież chodził z nami do podstawówki. Prędzej ty mnie wykupujesz niż on. Zawsze załatwiam tu interesy i jeszcze nigdy tego nie żałowałem, więc się nie mądrz, tylko słuchaj, bo będę miał dla ciebie robotę.

Wentyl westchnął.

- Wróćmy do tematu. Znasz się na cyferkach. To rzeczywiście pięćset tysięcy, tylko że eurasów, bracie - dokończył Mambo z satysfakcją, obserwując coraz niżej opadającą szczękę kolegi.

Nikodem stracił właśnie ostatnie życie, ale tym razem wcale się tym nie przejął. Chudzielec jęknął i opadł bezwładnie na oparcie krzesła.

- Pół miliona euro... - kontynuował Mambo - które pomożesz mi odzyskać i dostaniesz za to...

- Trzydzieści procent - zaproponował Wentyl, a grubas machnął ręką, jakby nieznośna mucha bzycała mu koło ucha.

- Targujesz się? - Zaśmiał się nieprzyjemnie. - Ze mną? Właśnie dlatego cię lubię. Nigdy nie tracisz dobrego humoru.

- Dziesięć - nie ustępował chudzielec.

- Przypominam ci, że wiesz mi dużą kasę. Podejrzewam, że zabraknie ci życia, żeby mi ją oddać z tej twojej głodowej policyjnej pensji. Moja propozycja jest prosta: ty mi pomożesz, a ja umorzę ci dług. Jeśli ci nie pasuje, to masz czas do jutra do południa na oddanie pieniędzy. Jasne?

- W porządku - mruknął ponuro Wentyl. - Co trzeba zrobić?

- Pójdiesz w nocy na cmentarz i odkopiesz ciało Zawiślaka, którego pochowali w tę sobotę.

Chudy zbladł.

- Co?

- To, co słyszałeś. Temu palantowi, mojemu bratu, tak strach tylek ścisnął, że pobiegł na cmentarz i wrzucił torbę do świeżo wykopanego grobu. Nie pomyślał tylko, jełop jeden, że rano wprowadzi się tam nowy lokator.

Wentyl głośno przełknął ślinę.

- Torbę? Mówiłeś, że kasa była w walizce.
- Jak cię Pan Bóg stworzył, to zapłakał. - Mambo pokiwał głową z politowaniem. - Myślisz, że schowałem taką kasę w jednym miejscu? Przy jakiegokolwiek wpadce, straciłbym wszystko.

Chudzielec spojrzał na niego wymownie.

- No dobra - burknął gruby. - Dosyć gadania.

- A co z walizką? - dopytywał się Wentyl.

- Diabli wiedzą. Mój brat jest, co prawda, półgłówkiem, ale za to z wyobraźnią. Kiedy policja już prawie go miała, jedyne, co przyszło mu do głowy, to podpalić mojego nowego merca, a walizkę wrzucić w krzaki podobno koło jakiejś wierzby płaczącej... Debil. Ty jesteś miejscowy chłopak, to powiedz mi, czy widziałeś kiedyś w lesie wierzbę?

Nikodem drgnął. Zerknął na grubasa, żeby być pewnym, czy nie blefuje. Nie. Taki facet żartuje tylko na pogrzebach. To wszystko prawda. Chłopak odetchnął głośno, jakby nagle za-brakło mu powietrza, a kiedy Wentyl spojrzał na niego podejrzliwie, szybko nachylił się nad komórką.

- A może ten twój braciszek zwinął wszystko dla siebie i wciska ci kit o tej wierzbie?

Mambo pokręcił zdecydowanie głową.

- To niemożliwe. Ma pełne portki ze strachu. Nie odważyłby się. Dobrze wie, że i tak go dorwę, a wtedy nasza biedna, schorowana matka będzie musiała rozpoznawać go po uzębieniu.

Pola szybko schowała rysunki i ołówki, gotowa wyjść w każdej chwili. Siedziała w napięciu, bojąc się uronić choćby słowo.

- Ale jak to się stało? Po co w ogóle dałeś mu tę kasę?

- A ty nie za ciekawy jesteś, co?

Wentyl wzruszył obojętnie ramionami, a grubas mlasnął, łyknął piwa i rozejrzał się leniwie po sali.

- Dałem mu robotę i ją schrzanił. Miał odebrać kasę od klienta za skradzioną brykę. Łatwizna. Dziecko by sobie poradziło, ale ten pacan oczywiście musiał się zgubić, nie zatrzymał się na żądanie drogówki, uciekał przez centrum miasta, rysując lakier mojego wozu, a na końcu po prostu spalił mi furę i zgubił kasę. Potrafiłbyś to wszystko zrobić w jeden dzień? A widzisz, jaki on zdolny. Mówiłem ojcu, żeby go nie wciągać do interesu, ale uparł się, że jesteśmy rodziną i musimy działać razem. I na co mi taka rodzina?

- To co z tą walizką? - dopytywał się Wentyl, a Nikodem szybko wyprostował się na krześle.

- Załatw Zawisłaka, wtedy pogadamy o reszcie. Trzeba będzie przeszukać las metr po metrze. Zwołam chłopaków. O północy spotkamy się na Białej Szosie. Do tego czasu masz mi oddać torbę z kasą.

Mambo podniósł się i zamierzał wyjść, nie płacąc rachunku. Nagle odwrócił się od drzwi.

- Tylko niczego nie kombinuj, bo inaczej lekarze będą mieli przy tobie więcej roboty niż przy moim bracholu.

Rzucił mu ostatnie groźne spojrzenie i trzasnął drzwiami. Wentyl siedział przez chwilę przy pustym stoliku, nie wiedząc, czy powinien się śmiać, czy płakać. W końcu zdecydował się na to pierwsze, ale uśmiech, jak wszystko inne w to deszczowe lato, wyszedł mu blado i niewyraźnie, więc tylko zaszurał nogami, mlasnął, zostawił na ladzie pieniądze za dwa piwa i wyszedł wolno, nie domykając drzwi.

Nikodem wyłączył komórkę i zdecydowanym ruchem schował ją do kieszeni. Rzucił okiem na salę. Nie miał się czego obawiać. Kilkoro zmarzniętych dzieciaków na wakacjach. Żadna konkurencja. I dobrze. Nie zamierzał dłużej użerać się z turystami. Wierzba płacząca w lesie? No proszę, pomyśleć, że to jego własny ojciec posadził ją na Czerwonej Polanie w dniu, kiedy urodził mu się syn. Nikodem cmoknął zadowolony, szybko ruszył do drzwi i mocno je za sobą zatrzasnął.

Greta zdążyła już wysuszyć wszystkie paznokcie. Zakręciła lakier i schowała go do kieszeni sztruksowych spodni. Wstała leniwie, przeciągnęła się, obserwując pozostałą dwójkę, ale nikt nawet na nią nie spojrział. Zasunęła suwak niebieskiej bluzy i precyzyjnie zapięła wszystkie guziki dżinsowej kurtki, sztormiak przerzuciła przez ramię. Ostrożnie odstawiła krzesło na miejsce i wolno wyszła ze smaźalni.

Kiedy znowu skrzypnęły drzwi, Gutek zamknął książkę. Nie mógł pozbyć się przeczucia, że nie tylko jemu zakiełkował w głowie pewien pomysł. Nie podejrzewał acetonowej laluni, ale ten rudy typ nie przypadł mu do gustu. Za szybko się zmył. Pewnie tubylec. Szlag by ich trafił. Nie dość, że zdzierają kasę na każdym kroku, to do tego myślą, że wszyscy turyści są idiotami. No, jeszcze zobaczymy, kto się będzie śmiał ostatni. Ostatecznie, nie po to spędza tu od dziesięciu lat każde wakacje, żeby nie wiedzieć, gdzie jest cmentarz i Biała Szosa. Wsunął książkę pod pachę, postawił kołnierz grubego, granatowego swetra i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Pola siedziała jeszcze chwilę, zastanawiając się nad tym, co usłyszała. Uśmiechnęła się lekko, nie wiadomo, czy do siebie, czy do deszczu za oknem. Okularnik, rudzielec i ta blada czarownica zmyli się zbyt szybko, żeby nie wzbudzało to jej podejrzeń. Biedny Zawisłak, nawet w grobie nie dadzą mu spokoju. Pola miała przeczucie, że dzisiaj odwiedzi go nie tylko chudy Wentyl. Czas ruszać. Powiesiła spakowaną wcześniej szmacianą torbę na oparciu krzesła. Nie będzie jej potrzebna, a karton z rozpoczętym rysunkiem mógłby się tylko pognieść. Wróci po nią później, kiedy załatwi kilka naprawdę ważnych spraw. Wyszła ze smaźalni, cicho zamykając drzwi, żeby nie obudzić pana Waldka.

Od razu zauważył, że ktoś go śledzi. Zdziwił się, że nie zdążył go zgubić obok pizzerii, gdzie tłum kolonistów schronił się pod wiatą warzywniaka, jakby to miały być tylko przelotne opady. Deszcz lał równo, nie pozwalając odpocząć od swojego uciążliwego towarzystwa. Oczywiście turyści wyglądali na wściekłych, ale kto by się przejmował ich humorami. Przyjeżdżają, śmieją, narzekają i wyjeżdżają niezadowoleni, zarzekając się, że ich noga więcej nie postanie w tej dziurze. No i niech leje, przynajmniej im wypłucze głupoty z głowy.

Nikodem postawił kołnierz wiatrówki, włożył ręce do kieszeni spodni i obejrzał się mimochodem. Okularnik nadal tam był – kiepski z niego tajniak, ale uparty skurczybyk. Ścisnął pod pachą tę swoją książkę i udawał, że na niego nie patrzy. Szedł pospiesznie drugą stroną ulicy, jakby znał tutaj każdy kąt. Tacy są najgorsi. Turyści udający miejscowych. Wyszczekani i przemądrzali, tylko szukają okazji, żeby porządzić. Dobra. Facet sam tego chciał. Nikodem nie zamierzał ciągnąć za sobą ogonów, a już na pewno nie turyściaków z Warszawki czy innych szpanerów.

Szybko skręcił w wąską uliczkę między małymi domkami, a kiedy zobaczył, że chłopak idzie za nim, przeskoczył najbliższą furtkę, przebiegł podwórko, przecisnął się przez dziurę w płocie, która prowadziła do tajnej obluźowanej deski w stodole sąsiadów. Potem jeszcze tylko sprint przez podwórko i porządny skok przez stary, lekko

pochylony płot. Był już na cmentarzu, a frajer z książką może sobie dalej spacerować po ulicach pięknego miasteczka. Nikodem uśmiechnął się lekko, wcisnął ręce do kieszeni i ruszył w stronę nowszej części nekropolii.

Znalazł od razu. Nie było zbyt dużo świeżych grobów. Poznał go po niedawno skopanej ziemi i paru kolorowych mieczykach wstawionych do wazonu. Zawiślak nie miał przyjaciół. Kilku kumpli od kielicha, paru dłużników i pies, którego nie karmił. Nikodem rozejrzał się szybko. Pusto. To nie pora na spacer po cmentarzach.

– No i co?

Usłyszał czyjś głos. Drgnął. Obrócił się, ale nikogo nie zobaczył.

– Będziesz kopał rękami, frajerze?

Gutek wyszedł zza sąsiedniego pomnika i patrzył na niego z politowaniem.

– A co ty tu robisz? – Nikodem z całych sił próbował zachować spokój.

– To samo co ty. – Uśmiechnął się kpiąco. – Żegnam zmarłego.

– Jak mnie tu znalazłeś? – Nikodem pytał bardziej same-go siebie, ale chłopak odpowiedział z prawdziwą przyjemnością.

– To nie było zbyt trudne.

Przez długą chwilę mierzyli się wrogo spojrzeniami.

– No i jak? – Gustaw odezwał się pierwszy. – Masz łopatę czy przyszedłeś tylko klepać zdrowaśki?

Wyjął zza najbliższego pomnika dwa brudne, zardzewiałe szpadle i dwa czarne sztormiaki, w których pracowali grabarze.

– Skąd to masz?

– Ukradłem. – Gutek wzruszył ramionami.

– Niezłe z ciebie ziółko.

– Przynajmniej nie rozkopuję grobów.

Nikodem przyglądał mu się z trudnym do odgadnięcia uśmiechem.

– Naprawdę chcesz to zrobić? – zapytał z niedowierzaniem.

– To będzie mój pierwszy raz. – Uśmiechnął się krzywo Gutek.

– I do tego ze mną. Jestem wzruszony.

Patrzyli przez chwilę na pospiesznie usypany grób, jakby próbowali odwlec decydujący moment.

– Ostatecznie... – zaczął niepewnie Gutek – co lepszego mamy do roboty?

Niki kiwnął głową i uśmiechnął się uspokojony.

– Pół na pół? – zaproponował.

Gustaw przytaknął i rzucił mu jeden płaszcz. Włożyli je i rozejrzeli się szybko. Deszcz lał jak z cebra. W taką pogodę nawet najbardziej pogrążeni w smutku żałobnicy siedzą w domu. Cmentarz był pusty. Przynajmniej tak im się wydawało. Nikodem zamknął oczy, zacisnął zęby i szybko wbił łopatę w miękką ziemię.

Więcej www.nk.com.pl